

DZIENNIK WILEŃSKI

Wydawca:
Aleksander Zwierzyński

Dodatek kulturalno-literacki

Powieść egzotyczna w Polsce Odrodzonej

W epoce wielkich a doniosłych przemian i przewrotów, które w latach 1914—1920 wstrząsnęły światem całym i nie do poznania zmieniły jego oblicze, Polsce zaś po 123 latach niewoli przyniosły upragnioną i przez pokolenia z tęsknotą wyczekiwaną niepodległość, — wielu ludzi, którzy w normalnych warunkach nigdyby może w życiu nie opuścili swego rodzinnego miasta, w ostatecznym razie — swego kraju, — następstw tych przemian i przewrotów znalazł się w najrozmaitszych punktach świata, na najodleglejszych jego krańcach.

Wśród ludzi tych wielu było pisarzy, którzy po powrocie do kraju i po uśmierzeniu się fal i burzy dziejowej, wędrowki swe po świecie szerokim i wrażenia swe z tych wędrowek uwieczniali i uwieczniają w swych dziełach, mających bądź charakter pamiętnikarski i opisowo-podróżniczy (Goetel: Przez płonący wschód, Egipt, Podróż do Indji, Głęboki Przez Urjanchaj i Mongolję, Kossak-Szczuczka Pątniczym szlakiem, Symonolewicz Miraż mandżurskie), bądź poetycki (Baliński Słonimski, Wierzyński), bądź też — i to w stopniu najsilniejszym — charakter beletrystyczny, decydujący o dosyć bujnym rozwoju powieści egzotycznej w Polsce Odrodzonej.

Nie stworzyliśmy wprawdzie w latach powojennych beletrystyki egzotycznej tej miary, co egzotyczna powieść angielska (Conrad, Kipling) czy francuska (Farrière, Benoit) — tem niemniej literatura piękna Polski Odrodzonej poszczycić się może całym szeregiem mniej lub więcej wybitnych utworów z zakresu powieściopisarstwa egzotycznego i chlubić się ma prawo wcale pokaźną ilością nazwisk tych autorów polskich, którzy przemierzywszy świat wzdłuż i wszerz (czasami — choć, trzeba przyznać, dość rzadko naogół, przemierzali go tylko w swej własnej wyobraźni lub na kartach encyklopedji czy podręcznika geografji!) — o tem, co widzieli, co przeżyli i co przemyśleli — opowiadają na kartach swych książek, z których niżej jedna stanowi bardzo znaczną pozycję w literaturze dzisiejszej, pozycję nie tylko bibliograficzną, ale i artystyczną.

Największym bezsprzecznie artystą pomiędzy polskimi powieściopisarzami egzotycznymi jest Ferdynand Goetel, autor „Patnika Karapety”, „Ludzkości” i „Schmerzenreicha”; „Karchata”; „Z dnia na dzień” i „Serca lodów”. Syberja i Turkiestan, oglądane oczyma jeńca — Polaka, — oczyma, przed którym rozpościera się nowy, nieznanany, oryginalny świat, i które zarazem stają się świadkiem bratobójczej wojny między autochtonami tych krajów w czasie rewolucji rosyjskiej i walk między „białymi” i „czerwonymi” i nie tylko te bezbrzeżne, bezkresne stepy południowo-wschodnich ziem rosyjskich, ale ludowce i gejzery Islandji — oto egzotyczny, nieznanany, dziwny, czarujący świat, który w wysoce artystyczny kształt opowiadania i opisu wysokiej klasy zaklina Goetel, budząc podziw czytelników i uznanie krytyki. A co jeszcze ważniejsze — nie tylko przyrodę egzotyczną, zwyczajnie i życie tych dalekich, nieznananych światów odtwarza z maestrią Goetel, — dokonywa on rzeczy jeszcze bardziej war-

tościowej, tem cenniejszej, że rzadko osiąganaj przez innych autorów polskich: umie spojrzeć należycie i przenikliwie w głąb duszy Tatara, Sarta czy Islandczyka w duszę tę wczuć się i ją zrozumieć, odtworzyć ją pięknie — przy pomocy całej maestrii swego artysty — ale też i prawdziwie. Ten największy artysta z pośród polskich beletrystów egzotycznych jest zarazem najwierniejszym w swych relacjach, jest najbardziej prawdziwym i w stopniu najwyższym — godnym zaufania świadkiem naczynym.

Tego co się powiedziało o Goetlu, w żadnym wypadku nie można powiedzieć o tak głośnym i modnym czas jakiś autorze licznych powieści o charakterze sensacyjno-egzotycznym: o Antonim Marczyńskim. Zaden to artysta, a i poczucie odpowiedzialności pisarskiej ma w niósłkończeniu niższym stopniu rozwinięte, niż u Goetla. Beletrystykę egzotyczną fabrykował masowo, — egzotyizm to jednak czysto krajowego wyrobu: Goetel opowiada o tam tylko, co sam widział; pisze o tem, gdzie był; Marczyński zaś nigdy nie widział tego, o czem opowiada i nie był nigdy w krajach, o których pisze. Wszystkie te „Alchy”, „Budzące się bestje”, „Piaczenie antylopy” itd. itd. — to owoce bujnej fantazji jedynie i gruntojnych studjów... encyklopedycznych. Zdarzają się więc też Marczyńskiemu raz poraz niemile gaffy, popełnia niewybaczalne błędy czy to w zakresie psychologii ludów egzotycznych, o których pisze, czy to w odmalowywaniu terenu i tła. W stopniu najsilniejszym błędy te uderzają i rażą w „Perle Szanghaju”.

Cechują za to Marczyńskiego bujna wyobraźnia twórcza, pierwszorzędnny talent narracyjny, silny nerw sensacyjny,

umiejętność stosowania dynamiki, duże zdolności kompozycyjne. Powieści jego to lektura zawsze zajmująca, emocjonująca czytelnika, pochłaniająca go, a chwilami porywająca. Wielką zaletę poczytności powieści egzotycznych Marczyńskiego stanowi niewątpliwie to, że pociągając do siebie czytelnika swą fabułą, pociągają go zarazem siłą inercji i tłem i tematem, przez co budzą w nim zainteresowanie do literatury egzotycznej wogóle, a więc i do beletrystyki egzotycznej poważniejszej (utwory Goetla).

Duże zasługi na polu polskiej powojennej powieści egzotycznej położył niśłusznie dziś zapomniany i w cień usunięty Jerzy Bandrowski, autor całego szeregu zajmujących, pod względem odtwarzania tła — niezwykle skrupulatnych, pod względem zaś artystycznym — najzupełniej poprawnych, a chwilami znakomych niemal — powieści egzotycznych, przeważnie na tematy wschodnie, najczęściej daleko-wschodnie. Na czoło twórczości Jerzego Bandrowskiego wybija się „Krwawa chmura”, arcydzieło niemal analizy psychologicznej, dokonanej przez pisarza — Polaka na obiekcie, tak trudnym i tak obcym i dalekim, jak dusza Chińczyka.

W pewnym sensie autorem — powieściopisarzem egzotycznym jest Edward Ligocki, na uwagę też zasługują utwory beletrystyczne Jerzego Bohdana Rychlińskiego, w szczególności cztery opowiadania, stanowiące cykl „Mah-Jong”. Motywy egzotyczne, fabularne czy psychologiczne — przewijają się raz poraz i poprzez beletrystykę czysto sensacyjną lub fantastyczną — tę ostatnią wtedy gdy porusza problem „Złotego niebezpieczeństwa” (Barszczewski Czandu, Karczewski Bak-

cył, Błażejowski Tajemnica dr. Hwił itd.)

Nastor polskiej powieści egzotycznej, autor „Ol Soni Kisań”, „Beniowski-go”, „Oceanu”, „Miłości samuraja” i innych większych czy mniejszych utworów z zakresu beletrystyki egzotycznej — Wacław Sieroszewski zmienił w czasach powojennych swe zainteresowania: z zakresu nas w danej chwili interesującego, stworzył jedno tylko dzieło i to znacznie ustępujące jego utworom przedwojennym — powieść „Dalaj-Lama”. W powieści tej występuje głośny w czasach rosyjskiej wojny domowej wódz armji anty bolszewickiej w Mongolji — baron Ungern-Sternberg. Trzeba zaznaczyć, że postać barona Ungera cieszy się dużą popularnością w polskiej powieści egzotycznej: oprócz Sieroszewskiego, znajdziemy ją u Giżyckiego, a przedewszystkiem u najgłośniejszego beletrysty egzotycznego, znacznie więcej cenionego i popularnego zagranicą niż w Polsce — Ferdynanda Antoniego Ossendowskiego.

Ossendowski zdobył sobie światowy rozgłos książką „Przez kraj zwierząt, bogów i ludzi” (w której to książce występuje właśnie baron Ungern, tak samo, jak w dramacie „Żywy Budda”).

Odtąd każda nowa książka Ossendowskiego, czy to o akcji, rozgrywającej się w górach Atlasu, czy w Senegalu, — czy to opowiadająca o Palestynie, a Ameryce Południowej czy o żywocie Lenina — staje się wielkim wydarzeniem literackim w całej niemal Europie, która tego autora barwnych, porywających powieści i opowieści podróżniczych — autora — Polaka wynosi na szczyty powieściopisarstwa egzotycznego w świecie całym. (p. t.)

Pamiętnik marynarza z XVII wieku

Książka, o której mówię, jest rodzajem osobliwości. Pisał ją półtrzecia wieku temu pozbawiony wykształcenia marynarz. Pisał naprzód w niewoli holenderskiej w Bawarii, mając lat około trzydziestu, a później prowadził dalej jako dziennik zamiast odpoczywać po ciężkiej służbie. Ortografię miał zupełnie swoistą, szczególnie co do imion własnych. Ochrzczony nazwiskiem jenerała Monka okręt nazywa się u niego Mounk. Opisywał naiwnie swe trudy, niebezpieczeństwa i cierpienia, narzekając na ciężkie życie marynarza — a przecie kochał okręty i morze. Nabożnie przypisywał powodzenia opiece Bożej, a klęski grzechom ludzkim. Nieznane ludy obserwował z wrodzonym zdrowym rozsądkiem. Zajmowały go egzotyczne rośliny i zwierzęta. Rzeczy, które go najbardziej zajmowały, odtwarzał rysunkiem lub farbami. I tak systematycznie prowadził swe zapiski przez lat czterdzieści cztery.

Owoc tej wytrwałej pracy przeleżał się do naszego wieku, aż dostał się w ręce hrabiego Harwicke, od tegoż nabył go obecny wydawca Basil Lubbock.

Książka będzie trudno dostępna, gdyż wyszło tylko 100 egzemplarzy, a dwa pokaźne tomy kosztują 4 gwineje (120 zł!).

John Barlow pochodził z okolic Manchesteru i był synem wieśniaka, którego dochód roczny wynosił 8—9 funtów sterlingów. Nauczył się jako chłopak czytać, a mając lat 15, powędrował z dwoma szylingami w kieszeni do Londynu, ażeby posługiwać w gospodzie, należącej do stryja. Już wtedy marzył o morzu i o poznaniu szerokiego świata. Marzenia spełniły się nagle, a niespodziewanie. Marynarkę wojenną Anglii kompletowano wówczas przez przymusowe wcielanie do niej ludzi, zwabionych przemocą lub porwanych gwałtem na pokład. Ten drugi los spotkał Johna, który napół pod przymusem, napół dobrowolnie musiał podpisać akt wstąpienia do marynarki Rzeczypospolitej angielskiej.

Było oto bowiem w r. 1659, jeszcze za Rzeczypospolitej i statek nazywał się Naseby — od rozstrzygającego zwycięstwa armji parlamentarnej nad wojskami Karola I. Już jednak w roku następnym dzięki patronowi innego okrę-

tu, na którym Johnowi sądzone było służyć, jen. Monkowi, nastąpiła restauracja Stuartów i „Naseby” przechrzczono lojalnie na „Królewskiego Karola” — i wysłano po zaproszonego do powrotu na tron królewski Karola drugiego tego imienia.

Ciężkie było w owych czasach życie żeglarskie. Oto obrazek, dający o niem wyobrażenie, a równocześnie próbka naiwnego stylu Johna Barlow, opisującego tu cierpienia, jakie przeszedł wraz z towarzyszący w r. 1661 w pobliżu wybrzeży portugalskich:

Miotani przeciwnymi wiatrami i mając mało wody, a przez cały czas źle zaopatrzeni w żywność, musieliśmy teraz zadawać się jedną kwartą napoju na głowę dziennie. Napój ten robiło się z kwaśnego wina i śmierdzącej wody, co nam się bardzo dawało we znaki. Ponieważ zaś było gorąco, a stale musiałem jeść solone mięso, nie mogłem nigdy napęścić brzucha do sytości, przez co nieraz żalowałem, że nie poszedł na morze, wspominając, jakie rozkosze mają w Anglii ludzie, których brzuchy pełne są dobrej strawy i napoju, chociażby nie wiem jak ciężko na to pracowali. I wciąż myślałem, że zabrać lepsze mają życie i lepiej żyją odemnie, bo rzadko im się zdarza, aby nie napchali żołądków lepszą strawą, niż my możemy dostać; a także nocą leżą sobie spokojnie i bezpiecznie po porządnym szopach, pełnych

ślomy, a nikt im nie przeszkadza i mogą sobie leżeć, jak długo im się spodoba.

Przyszło Boże Narodzenie.

Nie mieliśmy nic prócz małego kawałka irlandzkiej wołowiny na czubkach ław, mięsa, które zamarynowano przed dwoma lub trzema laty i które przeszło rdzą, z jak djabli z odrobiną śmierdzącej oliwy lub masła, która miało wszystkie kolory tęczy — dużo ludzi w Anglii smaruje koła swych wozów czemś lep- szym.

Tu John Barlow powtarza sobie stare przysłowie angielskie:

Kto posyła swe dziecko na morze, aby tam zarabiał na życie, zrobiłby o wiele lepiej, gdyby oddał je do terminu do katu.

Lecz prócz głodu, pragnienia, trudu ponad siły, braku snu czyhały jeszcze na każdym kroku niebezpieczeństwa. Wojowano na morzu z Holendrami, Hiszpanami i Francuzami. Najniebezpieczniejszymi przeciwnikami byli Holendrzy, którzy wydali w omył czasie wielkich admirałów Van Trompa i de Ruytera. Wojna z nimi obfitowała w tragiczne momenty dla Anglii. De Ruyter spalił trzy okręty wojenne w Chatham, Van Tromp przytwierdził do rufy swego okrętu miotłę — na znak, że oczyścił Kanał La Manche z Anglików. Żle zaopatrzone okręty, niewycwiczone załogi, kapitanowie i admirałowie, zapożyczeni od armji lądowej (jeden z nich komenderował „Na lewo zachód!”) — wszystko to powiększało grozę położenia, lecz odwaga, wytrzymałość i wrodzona miłość morza ratowały Anglików. John Barlow uczestniczył w dwóch wielkich bitwach morskich, jakiś czas spędził w niewoli — wogóle wychodził cało z niebezpieczeństw i powoli pisał się wgórę w hierarchji marynarskiej. Miał umrzeć jako oficer statku wojennego, który zastępczo fungował jako kapitan.

Sługiwał później i na statkach handlowych, ale w owej burzliwej epoce każdy z nich był zaopatrzony w działa. Inaczej byłby łatwym łupem dla korsarzy. Zresztą zdarzało się, że jeden okręt angielski kradł drugiemu marynarzy, porywając ich przemocą, gdy udało się zaskoczyć jakąś grupkę na lądzie, a biedakom przepadały przy tej sposobności ich rzeczy, oszczędności i żołądki — zawsze płacono z wielkim opóźnieniem.

Przeżycia Johna Barlow stanowią prawdziwą epopeję. Walczył on z korsarzami i wyzwalał z ich niewoli angielskich majtków. Pięć czy sześć razy żeglował do Indyj (naokoło Afryki), a podróż w owym czasie trwała pół roku. Trzy czy cztery razy odwiedził Chiny, znał Indie Zachodnie, jak własną kieszeń. Ożenił się i tęsknił do żony i dzieci, ale był w domu nieobecny raz przez dwadzieścia, raz przez jedenaście lat.

Gdzie nie był czego nie widział! A wszystko pilnie notował. Mówi o niewolnikach w Barbados, że „żyją wśród takich trudów i męczarni, iż gotowi są na wszelki hazard, byle uciec, choć w razie złapania tracą ich przez spalenie żywcem, przez ucięcie głowy, przez posiekanie na kawałki, aby dać innym murzynom odstraszać przykład”.

O Hotentotach znów mówi Barlow:

Jest to najbardziej pogański naród, jaki widziałem. Nie znają dobra, nie oddają cześci ani Bogu, ani djabłu, chodzą po świecie raczej jako dzikie zwierzęta, niż jako ludzie i jadają wszelkie surowe mięso i wnętrzności zwierzęce, które się wyrzuca.

O pobożności Johna świadczą uwagi, jakie poczynił po klęsce, poniesionej w wyprawie na brzegi francuskie w r. 1691:

Przedsięwzięciu naszemu stanął na przeszkodzie brak łaski Bożej, bo nasz cały naród oddany jest takiej pysze zbyt kowi, rozpuszcie, kłatwom i pijaństwu. Gdy zaczniemy poprawiać się, możemy

mieć nadzieję, że Pan Bóg będzie z naszymi wojskami i flotami.

Kończy też Barlow swe zapiski, dziękując Bogu

za Jego dobroć, że mnie ochronił we wszystkich podróżach pośród tylu wielkich niebezpieczeństw w ciągu tylu lat rzemiosła marynarskiego.

Na zakończenie parę słów o „ilustracjach“, które Barlow ozdobił swój dziennik. Zgórą 120 było kolorowych,

ponad 50 niekolorowanych. Małą część tylko zreprodukowano w wydaniu Lubbocka. Widoki wybrzeży zasługują na uwagę jedynie jako *curiosa*, gdyż dzielny żeglarz nigdy nic nie słyszał o perspektywie, a i sam jej nie wynalazł. Natomiast obrazy okrętów są wcale dobre i dokładne, a rysunkowi nosorożca niewiele można zarzucić. Jednym słowem, poznajemy tu, jak w całym pamiętniku,

Johna Barlow jako człowieka o dużych wrodzonych zdolnościach, nie popartych wykształceniem.

Jego zapiski nietylko mają wartość historyczną, ale też oświetlają angielski charakter narodowy i w znacznej mierze wyjaśniają, skąd wzięła się morska potęga Anglii.

A. E.

Republika w miniatucie

Ktokolwiek zwiedza Włochy środkowe, nie pominie z pewnością sposobności, by nie zrobić wycieczki z Rimini do San Marino, tej miniaturowej republiki, stanowiącej tak jaskrawy i niezwykły przykład anachronizmu historycznego i politycznego w dzisiejszych czasach.

Republika, licząca niespełna 15 tysięcy mieszkańców, a obejmująca powierzchnię 61 kilometrów kwadratowych!... Republika, najściślej związana z życiem kulturalnym i politycznym Włoch, — zachowująca jednak pełną samodzielną, rządzącą się własnym prawem, posiadającą własny rząd i własną gwardję!

Nic dziwnego zatem, że każdy turysta uważa sobie za obowiązek poświęcić choć jeden dzień na zwiedzenie tego „państwa“, — zwłaszcza, że może to załatwić bez jakichkolwiek formalności paszportowych czy celnych. A wycieczka to naprawdę ładna i interesująca, — przytem mieszkańcy San Marino — przeważnie wieśniacy żyjący z uprawy wina, — witają bardzo gościnnie obcych, czerpiąc z tego ruchu turystycznego ładne zyski.

Wedle legendy powstanie San Marino sięga czasów Djklecjana. Wówczas to, chroniąc się przed prześladowaniem dwaj świątobliwi rzemieślnicy, San Marino i San Leo, schronili się w te niedostępne, pokryte gęstymi lasami, góry. Już w roku 885 powstaje tam klasztor na górze zwanej „Rocca del Titano“, — dokoła którego grupują się wioski i osiedla.

Małeńki ten organizm zachowuje od

samego powstania autonomję, — a papież Urban VIII uznaje formalnie w roku 1631 jego niezawisłość. I tak przetrwała republika wszystkie wielkie wstrząsy i walki, jakie szalały w ciągu wieków na apenińskim półwyspie, — stając się niejako asymlem dla śmiałych a wielkich bojowników o wolność. Tutaj to schronił się w r. 1849 Garibaldi ze swą chorągwą i niedobitkami swych żołnierzy przed nacierającymi na niego przemożnymi siłami Austriaków.

A mieszkańcy San Marino, miłujący fanatycznie wolność i niepodległość, nie myśleli nigdy o podbojach, o rozszerzeniu granic swego państewka. I owszem — odrzucili bez wahania propozycję Napoleona, który chciał im przyznać w tym kierunku duże koncesje terytorjalne.

I tak oto przetrwała do dzisiaj ta jedyna w swoim rodzaju republika, z jedynym miastem-stolicą, zachowując z całym pietyzmem wiekowe tradycje, obyczaje i ustrój państwowy.

Najwyższą władzę reprezentują w San Marino dwaj „Regenci“, wybierani co pół roku, dnia 1 kwietnia i 1 października. Wyboru dokonuje uroczyste tzw. „Wielka Rada“, w skład której wchodzi po dwudziestu przedstawicieli stanu szlacheckiego, mieszczaństwa i rolnictwa. „Wielka Rada“, to rodzaj parlamentu; emanacją tegoż jest tzw. „Mała Rada“, złożona z dwunastu członków.

Oczywiście posiada republika i swoją własną „gwardję“, umundurowaną na wzór włoski, a czuwającą nad bezpieczeństwem publicznym. Służba w niej nie jest ciężka ani wyczerpująca, mieszkańcy bowiem, ludzie spokojni, weseli

a pracowici, rzadko dają sposobność do „interwencji“.

Położone na szczycie dość wysokiej góry (743 m.), przedstawia San Marino widok niesłychanie malowniczy ze swymi spadzistymi uliczkami, tonącymi w powodzi kwiecia, wyłoczonemi promieniami południowego słońca.

Z dawnych zabytków najciekawszym jest kościół i klasztor Franciszkanów, budowla z XIV wieku.

Katedra („pieve“) zbudowana w początkach XIX wieku zawiera grobowiec św. Marcina, którego święto obchodzone jest uroczystość dnia 3 września.

Pałac rządu, zbudowany w roku 1894, jest pięknym gmachem w stylu gotyckim. Wreszcie jedną z osobliwości jest tzw. „Rocca“ (738 m. wysokości) ze swymi starożytnymi basztami i wieżami, skąd rozciąga się przepiękny, rozległy widok aż po lazurowe brzegi Adriatyku, — od Aukony do Rawenny.

Naogół nie znajdzie się w San Marino cenniejszych zabytków architektury, malarstwa, czy rzeźby, tak szczerze rozrzuconych po innych miastach włoskich. I z pewnością nie ściągająby San Marino takiej rzeszy turystów, — gdyby było zwyczajem sobie miasteczkiem włoskiem, podobnym do dziesiątek i setek innych. I w tem, zdaje się, tkwi cała tajemnica jego „niezawisłości“, którą inaczej trudno byłoby zrozumieć i wytłumaczyć w dzisiejszym ustroju faszystowskich Włoch: owa niezawisłość jest właśnie tym magnesem, ściągającym turystów z całego świata, pragnących na własne oczy obejrzeć miniaturową republikę...

(kr.)

Koszt żywienia zwierząt

Mało kto zdaje sobie sprawę, jak znaczne wydatki pociąga za sobą żywienie zwierząt po zoologach. Najbardziej wybredne są może węże. Jeżeli nie dostają tego, co im smakują, urządzają strajk głodowy. Coprawda, obchodzą się bez pożywienia bardzo długo, zdarzały się wypadki, że wąż nie jadł rok i dwa lata. Lecz wszystko ma swoje granice i jeżeli nie uda się wynaleźć pożywienia, któreby wytrwałego gada skusiło do przerwania głodówki, następuje wycieńczenie i śmierć.

Niedawno otrzymał ogród zoologiczny w Londynie wspaniały okaz tzw. królewskiego kobry, mierzący 3 metry. Węże tego gatunku są w świecie zwierzęcym kanibalami i zjadają zazwyczaj każdego mniejszego gada, jakiego im się uda pochwycić. Ale w tym wypadku natrafiono na szczególnie wybrednego osobnika, który ze wstrętem odwracał się od wszystkiego, a spożywał tylko pewien gatunek węży, żyjący na Archipelagu Malajskim — po 5 funtów st. sztuka.

W paryskim ogrodzie zoologicznym żył znów wspaniały pyton o żółkawej

skórce, który odmawiał wszelkiego pożywienia i był już bliski śmierci. Przypadkowo dobito okaleczoną gęś i komuś przyszło na myśl potraktować nią wytrwałego głodomora. Zjadł i zaczął przychodzić do siebie. Sądzą, że teraz znacznie przyjmować wszelki pokarm, ale wnet przekonano się, że kapryśny pyton nie uznaje nic prócz gęsi.

Najdroższy obiad urządził sobie królewski kobra w londyńskim Zoologu. Właśnie go tam przywieziono i niedoświadczony dozorca umieścił go pierwszej nocy w klatce razem z sześciu zwyczajnymi kobrai. Wyobrażał sobie, że jadawito węże muszą zgodzić się ze sobą. Ale na drugi dzień rano okazało się, że większy i silniejszy gad połknął całe towarzystwo. Na dobitkę mniejsze węże nie były kupione i handlarz zwierząt zażądał za nie bardzo wysokiej ceny. Dopiero po dłuższych targach zgodził się na 25 funtów (ponad 700 złotych).

Bardzo dobry apetyt mają fokki, a jeszcze lepszy spokrewniony z niemi i nieco podobny z wyglądu lew morski (mors). Gdy zbliża się godzina karmienia, wydają on raz za razem głośny, niesłychanie

przerazliwy krzyk. Nadchodzi wreszcie posługacz z olbrzymią putnią ryb — zresztą jak najtańszych, funt kosztuje tylko 4 pany (ok. pół złotego). Bo też lew morski zjada dziennie 25 funtów tego pożywienia! I on i fokki zupełnie nie interesują się ludźmi i publiczność bardzo często kręci się wśród nich w czasie obiadu (służba zezwala na to za skromnym napiwkami). Warto zaś przypatrywać się zręczności zwierząt, które niezawodnie chwytają w lot każdą rzuconą sobie rybę.

Jest odmiana fokki, odznaczająca się olbrzymim wzrostem i z tego powodu zwane foką = słoniem. Londyński Ogród Zoologiczny posiadał młode z tego gatunku. Niemowlę miało jednak niezły apetyt, skoro na ryby dla niego musiano wydawać tygodniowo 10 funtów sterlingów (blisko 300 złotych). Nie służyła mu niewola i zdachło, ale berliński Zoolog posiada dorosły okaz fokki — słonnia, mierzący 6 metrów. Wikt tego olbrzyma kosztuje rocznie ok. 30.000 marek niemieckich.

A. E.

Daj na T. S. L.

Nadworny malarz czterech królów

Mimo wspaniałe brzmiącego, iście hiszpańskiego nazwiska, był Francisco Jose de Goya y Lucientes synem poczciwej chłopskiej rodziny, która ciężko pracowała na kawałek chleba.

Urodzony 30 marca 1746 we wiosce Fuentetodos koło Saragossy, okazywał od wczesnej młodości niezwykle zdolności i zamiłowanie do malarstwa. Toteż już jako 13-letni chłopak przenosi się do Saragossy, gdzie pobiera naukę u znanego malarza J. Luzana.

Ale młody Francisco posiada ognisty, południowy temperament; musi się „wyszumieć”. Zdrowy, silny, odważny aż do zuchwalstwa, prowadzi w Saragossie bujne życie, stając się bohaterem licznych skandalików, awantur i bijatyk. Kiedy mu ziemia zanadto zaczyna parzyć stopy, — ucieka w r. 1765 do Madrytu, gdzie zdobywa sobie wkrótce opinię niebezpiecznego donjuana. Aż pewnego wieczora znajdują go leżącego w ustronnej uliczce, bezprzytomnego, ze sztyletem utkwionym w plecach... Silna, chłopska natura zwyciężyła: Goya wkrótce odzyskał zdrowie, ale miał już dość Madrytu.

Zapomocą sprytnego podstępu dostaje się w roku 1769 do Rzymu, gdzie przebywa parę lat. Z tego okresu krążą niezliczone legendy o jego awanturach miłosnych i warjackich pomysłach. Tak np. miał pewnego razu wydrapać się na kopułę bazyliki św. Piotra, by tam wyręczyć ku wiecznej pamięci swe nazwisko.

Jesienią r. 1771 jest już spowrotem w Saragossie — i tam rozpoczyna swą pracę twórczą, malując freski w kościele Senora del Pilar, co przyniosło mu zaczątki sławy i ładny zarobek w kwocie 15 tysięcy reali.

Od tej daty następuje przełom w duszy artysty, która zabiera się z całym zapałem i gorliwością do pracy.

O dalszej jego, wspaniałej karierze decydują lata następne, kiedy w roku 1776, po osiedleniu się w Madrycie, przygotowuje projekty do gobelinów dla pałacyku królewskiego w El Padro, zamieszkiwanego przez ówczesnego księcia Asturji, a późniejszego króla, Karola IV.

Rysunki te, jakkolwiek nie należą do najdoskonalszych dzieł mistrza, przyjęte zostały z prawdziwym entuzjazmem; obok bowiem doskonałej kompozycji miały one tę wielką zaletę, że przedstawiały one szereg scen z codziennego życia ludu, — różniąc się tem korzystnie od uprawianych dotychczas niemal „klasycznych” tematów z mitologii i bezdusznych figur alegorycznych.

Równocześnie rzuca się Goya niemal gorączkowo do pracy, tworząc długi szereg obrazów rodzajowych, portretów, obrazów religijnych.

W roku 1779 uzyskuje Goya pierwsze posłuchanie u króla. Podanie jego o nadanie mu tytułu „malarza nadwornego” załatwione zostaje odmownie. Pewną pociechę jednak znajduje we fakcie, że madrycka Akademia sztuk pięknych mianuje go w r. 1780 swym członkiem.

Goya nie ustaje w pracy. On, syn prostego chłopca, jest przez parę miesięcy mile widzianym gościem w pałacu infanta Don Luisa, gdzie portretuje rodzinę infanta i szereg osób z najwyższej arystokracji.

Wreszcie w roku 1786 maluje portret Karola III i otrzymuje tytuł „malarza królewskiego”, do czego przywiązana była wcale ładna pensja roczna.

Toteż w chwili zgonu Karola III, w roku 1788, Goya jest już człowiekiem zamożnym. Z wrodzonym, chłopskim zmysłem oszczędności ciuła pieniądze i lokuje je w dobrych papierach procentowych.

Rządy Karola IV zapisały się czarnymi zgłoskami w historii Hiszpanji. Sam król, człowiek o słabej woli, był tylko manekinem w ręku swego otoczenia, przede wszystkim zaś swej małżonki

Marji Luizy, która zdobyła sobie zgola niezaszczytne miano „hiszpańskiej Messaliny”. Zupełne rozluźnienie obyczajów na dworze królewskim pociągnęło za sobą upadek moralności w całym kraju.

Jak ustosunkował się do tego Goya? Maluje portrety rodziny królewskiej; kilkakrotnie zwłaszcza portretuje królową, oddając w obrazach tych z całym brutalnym realizmem wszystkie ujemne cechy jej charakteru i usposobienia. Jest dalej w łaskach. W r. 1789 mianowany zostaje malarzem nadwornym, z pensją 50 tysięcy reali rocznie.

Ale Goya bystrym okiem widzi, co się dzieje na dworze i w całym kraju. Widzi i odczuwa to tem silniej, że w tym czasie pojawiają się pierwsze groźne zapowiedzi jego nieuleczalnej choroby: głuchoty, która stopniowo rozwija się coraz silniej.

Straciwszy możność bezpośredniego porozumienia się z ludźmi zapomocą żywego słowa — staje się ponatu zgorzkniałym samotnikiem, patrzącym na świat krytycznie. W tym czasie też powstają jego słynne „Caprichos” (Kaprysy), w ogólnej liczbie 80 rysunków, będące ostrą, bezlitosną satyrą na wszystkie wady, ułomności i występki współczesnego społeczeństwa. W międzyczasach tych — Goya pierwszy w Hiszpanji — posługuje się techniką akwatinty.

Kiedy po krwawej rewolucji w Aragonji w r. 1808 i po abdykacji Karola IV na tron hiszpański wstąpił Ferdynand VII, Goya w charakterze malarza nadwornego portretuje dwukrotnie nowego władcę: raz na koniu, drugi raz stojąco w obozie.

Wkrótce jednak rozgorzały w Hiszpanji krwawe walki z francuskimi wojskami Murata. Ferdynand VII abdykuje

pod przymusem, a 20 lipca wjeżdża do Madrytu nowy król Hiszpanji, Józef Bonaparte.

I tutaj zachodzi fakt, nad którego wyjaśnieniem łamią sobie napróżno głowę historycy: Goya, wierny sługa Bourbonów, gorący i szczery patriota, Goya, który sceny krwawych walk ulicznych z Francuzami dnia 2 maja uwiecznił w dwóch wspaniałych obrazach — nieoczekiwanie zjawia się wśród dworaków, łaszających się do nowego, obcego władcy!

Co więcej, pozostaje nadal nadwornym malarzem i kilkakrotnie portretuje znienawidzonego przez naród Józefa. Portrety te jednak wszystkie zaginęły w ciągu lat następnych.

W głębi duszy pozostaje jednak Goya wierny swym dawnym ideałom i przekonaniom. A kiedy wybucha owa straszna, bezlitosna wojna gerylasowa, tworzy Goya w ciągu lat 1808—1814 swój cykl wstrząsających 85 rysunków, znanych pod ogólną nazwą „Desastres de la guerra”.

Po ostatecznym pokoeniu w kraju przenosi się Goya do swej willi pod Madrytem, której ściany załadnia postaciami niesamowitych demonów, czarownic i potworów. Żyje w zupełnej samotności, nie przestając malować. Z tego okresu czasu datuje się cykl jego rysunków „Suenos” (Sny) oraz „Tauromaquia”, gdzie daje szereg epizodów z walki byków, której był od najmłodszej młodości zapalonym miłośnikiem.

Żyje w dostatku, pobiera swą pensję jako malarz nadworny — obecnie znów króla Ferdynanda VII... Ale samotność mu dokucza. Jako 78-letni starzec wybiera się samotnie w podróż przez Pireneje i osiada w Bordeaux, gdzie znajdu-

je liczną kolonię hiszpańskich emigrantów.

Głuchy już zupełnie, mimo bardzo osłabionego wzroku, nie może rozstać się z pendzlem i paletą. Tworzy tam jeszcze kilkanaście dzieł, wśród których wyróżniają się zwłaszcza doskonale portrety, pełne światła i barwy.

Dotknięty nagłym atakiem sercowym umiera 16 kwietnia 1828 w Bordeaux, na obcej ziemi, — skąd dopiero w maju 1900 zwłoki jego przewiezione zostały do Madrytu.

Nadworny malarz czterech królów, był Goya za życia nawet w swej ojczyźnie mało znany. Większość bowiem jego obrazów zdobyła pałace królewskie i książęce, niedostępne zwykłym śmiertelnikom. Do tego burzliwe czasy rewolucji i wojen napoleońskich sprawiły, że o twórczości tego wielkiego artysty mało kto słyszał poza granicami Hiszpanji.

A był przecież Goya jednym z najbardziej utalentowanych i oryginalnych malarzy hiszpańskich, malarzem niesłychanie płodnym, o olbrzymiej skali zainteresowań.

Dorobek jego artystyczny wyraża się cyfrą ponad 1400 dzieł, w czem około 250 litografii, około 500 rysunków sępią, kredą, tuszem, cały szereg obrazów olejnych i fresków.

Najpopularniejsze są jego groteski satyryczne, dramatyczne epizody wojenne, oraz fantastyczne „Caprichos”.

W historii malarstwa hiszpańskiego zajmuje Goya jedno z najpierwszych miejsc, nie tylko dzięki swemu wielkiemu talentowi, lecz również i z tego względu, że w obrazach jego odzwierciedla się całe życie współczesnej Hiszpanji.

(K. r.)

Ziemia księżniczki Astrid

W ostatnich latach wzrosło ogromnie zainteresowanie Antarktydą, która dotychczas jeszcze pozostaje niemal w zupełności prawdziwą „terra ignota”.

Obok głośnej ekspedycji R. Byrda zanotować należy drugą, również amerykańską, ekspedycję lotników Lincoln Ellswortha i Anglika H. Wilkinsa, — oraz trzecią, zorganizowaną przez brytyjskie ministerstwo kolonii, a pozostającą pod dowództwem Kapitana Nelsona.

Ekspedycje te mają na oku przede wszystkim cele naukowe: badanie warunków meteorologicznych, pomiar głębokości, sprawdzanie dokładności dat kartograficznych, ewentualnie odkrywanie nowych lądów, i t.d.

Ale okolice bieguna południowego interesują również i wielkie kompanje okrętowe, które wysyłają tam corocznie całe flotyle na połów wielorybów. Że jest to przedsięwzięcie lukratywne, najlepszym dowodem fakt, iż w roku 1932 wartość wytopionego tranu z wielorybów dochodziła do 250 milionów złotych.

Flotyla taka składa się z 5 — 6 „catchers”, tj. okrętów przeznaczonych do połowu wielorybów, — oraz z jednego „floating factory”. Jest to okręt o pojemności około 18000 ton, istne laboratorium, w którym złowione wieloryby się obrabia i odpowiednio magazynuje.

Każda flotyla, poza odpowiednim aparatem technicznym, służącym do połowu, zaopatrzona jest w doskonałe instrumenty do sondowania, mierzenia temperatury, kartografii, meteorologii.

Zwłaszcza Norwegia rozwija na

tem polu bardzo żywą działalność, — ona też ma do zanotowania ostatnio cały szereg ciekawych spostrzeżeń i odkryć. W ciągu roku 1929/1930 ekspedycja, która wyruszyła do Antarktydy, odkryła nowe lądy położone między Ziemią Enderby a krajem księżniczki Marty, — nazwane przez odkrywców „Ziemią Larsa Christensena”, „Ziemią królowej Maud” i „Ziemią księżniczki Ragnild”.

Wyniki naukowe tej ekspedycji są ciekawe również i z innego względu. Pokazało się mianowicie, że cały szereg wysp, najdokładniej wyznaczonych na mapach i opisanych szczegółowo istnieje tylko na mapach, względnie w wyobraźni ich odkrywców; dotyczy to w szczególności wysp Douglasa „Nemroda”, (odkrytych w roku 1831), dalej „Dougherty”, „Rimutaka” i „Pagoda Rock”. Tego rodzaju „pomyłki” są łatwe do wytłumaczenia, biorąc pod uwagę bardzo ograniczone pole widzenia i specjalnie trudne warunki obserwacji; niejednokrotnie też olbrzymie góry lodowe brane były z oddali za wyspy.

Znany podróżnik norweski Lars Christensen, przedłożył Akademii Umiejętności w Oslo sprawozdanie z odbytej ostatnio podróży do Antarktydy na pokładzie okrętu „Thorshavn”.

Christensen, członek kilku kompanij okrętowych i zapalony podróżnik, wyruszył w grudniu 1933 wraz ze swą żoną i synem na podróż inspekcyjną. Zadaniem jego było odwiedzić i skontrolować kilkadziesiąt okrętów wielorybniczych, operujących w tamtej okolicy.

Po wywiązaniu się z tego zadania

wyruszył w dalszą podróż, docierając do 86 stop. dług. w. a 66.40 stop. szerokości poł. W tych okolicach odkrył on nowy ląd stały, który nazwał „Ziemią księżniczki Astrid”, na cześć najmłodszej, dwuletniej zaledwie, córki króla norweskiego następcy tronu.

„Ziemia księżniczki Astrid” odkryta została przez dwóch lotników, członków ekspedycji Christensena. Wzniesli się oni na hydroplanie do wysokości 1200 mtr., a pozostając blisko godzinę w powietrzu, krążyli wzdłuż brzegów nowo odkrytej ziemi, robiąc notatki i zdjęcia.

Ze zdjęć tych wynika, iż jest to pas ziemi, długości około 250 kilometrów, wznoszący się stopniowo w kierunku południowym. Blizsze zbadanie tych obszarów nie było możliwe z uwagi na niepomyślne warunki atmosferyczne.

Tak więc Norwegja powiększyła i rozszerzyła swe posiadłości zamorskie. Co prawda, nie przedstawia to żadnej absolutnie realnej korzyści. — wzbudziło natomiast duże zainteresowanie w świecie naukowym.

Mimowoli jednak nasuwa się pewna refleksja: czy i tym razem odkrywcy nowej ziemi nie padli ofiarą złudzenia, biorąc góry lodowe za ląd stały? Czy za parę lat jakaś inna ekspedycja nie będzie musiała znowu „prostować” map żeglarskich, na których od niedawna pojawiła się „Ziemia księżniczki Astrid”?

(R.)

**Daj grosz
na L. O. P. P.**

Zamek w Łańcucie

Jest faktem nader pociesającym, że wśród powodzi błogosławieństw współczesnego ducha czasu, dławiącego między innymi wszystko to, co nazywa się nauką, literaturą i sztuką, — pojawiają się mimo wszystko wysiłki, zmierzające do wydobycia na światło dzienne drzemiących w ukryciu duchowych wartości naszego kraju. Dzieje się to zwłaszcza w zaniedbanej dotychczas najbardziej dziedzinie nauki o sztuce. Pojawiają się tedy coraz częściej wartościowe monografie wybitnych artystów dłuta, pędzla czy architektury, pisane przez fachowców starszej, a zwłaszcza młodszej generacji, — studja rzucające coraz więcej istotnego światła na skarbiec duchowej kultury bogatego pod tym względem narodu.

Książka dr. Józefa Piotrowskiego, dłu goletniego konserwatora lwowskiego, zajmuje się po raz pierwszy fachowo architekturą, zbiorami i otoczeniem zamku w Łańcucie. Jako owoc długoletnich, przykrych i żmudnych studjów i archiwalnych dociekań, posiada ona cenną zaletę ze względu na opublikowanie wcale interesującego zabytku w jego historycznym rozwoju i różnych wewnętrznych, urzędniczych metamorfozach. Odznacza się jednak to dziełko — powiedzmy lepiej odrazu — pewnemi, obciążającemi je wadami. Mimo, że jest ono tylko streszczeniem przygotowanej pono do druku, obszerniej monografii, nie uwalnia jednak autora od krótkiej chociażby analizy, materiału porównawczego, analizy, której rezultaty pozostają zawsze koroną badań historyka sztuki. Druga wada jest już naprawdę przykrą. Autor wykraczając poza swoją dziedzinę, zapelnia spory szmat książki zupełnie zbytecznemi i bezkrytycznemi hymnami pochwalnemi na cześć genealogij rodów arystokratycznych, przez których ręce przechodził zamek. Wymienia tu różne golicacje, zamięłowania, wykształcenia, osobiste uroki i zalety serca, umysłu i ciała poszczególnych osobistości w które chyba sam nie wierzy, a które zabagniły częściowo nie tylko kompozycją interesującej zresztą książki, lecz stały się prawdopodobnie także przyczyną odarcia jej ze ścisłej wartości naukowych.

Począwszy od hipotezy założenia drewnianego zamku łańcuckiego przez Kazimierza Wielkiego ok. r. 1360, kreśli dr. Piotrowski jego dzieje i zmiany wśród historycznych wypadków i walk wewnętrznych prowadzonych przez szlacheckich bożków ówczesnej teraźniejszości. Wypadki te nie zdołały jednak zbytnio naruszyć budowlnej, pozwalając jej ustawicznie rozszerzać się, oraz dostosowywać do wojennych, czy pokojowych okoliczności. Z posiadania przez Piłkiewiczów, a później Stadnickich, przechodzi następnie zamek w ręce Lubomirskich, za których następuje budowa nowego zamku i warowni na rzucie poziomym w kształcie pięciopromiennej gwiazdy, tzw. „Petit Royal”, wzniesiona na system nowowłosko-holenderski. Po okresie pierwszego rozbioru Polski twierdza łańcucka traci pierwotny sens swego istnienia i zostaje przebudowana gruntownie na wspaniałą, magnacką rezydencję pokojową. Zwłaszcza ostatnia właścicielka z tego rodu, tzw. „Księżna Marszałkowa”, Elżbieta z Czartoryskich Lubomirska przyczyniła się głównie do gwałtownego rozwoju świetności budowli, ozdabiając ją licznymi dziełami sztuki.

W roku 1817 przechodzi zamek łańcucki na własność rodziny Potockich, którzy zaokrąglili jego zbory, nie dające dziś oczywiście należytego obrazu pier-

wotnej wspaniałej całości, rozdzielone po wielu innych galerjach, zamkach i pałacach.

W ostatniej części swej pracy opisuje autor zamek dzisiejszy, jego otoczenie i stylistyczne znamiona, oraz wymienia dziś jeszcze liczne zbory. Można oglądać tam np. stylowe meble 18-go i 19-go wieku, sztychy polskie, angielskie i francuskie, — liczne dzieła malarzy polskich, jak J. Lampi, Orłowski, J. Brodowski, W. K. Stattler, J. Kossak, Leopold Horowitz itd., — kopie i oryginały włoskich, francuskich i flamandzkich i holenderskich mistrzów, pośród których nie brak także

szeregu należących u nas do rzadkości zagranicznych arcydzieł. Obok prac Angeliki Kaufmann i Vigée Lebrun, spotykamy tam dzieła Karola Blaasa, Winterhaltera i Ary Scheffera, — obok mistrzów jak Dawid Teniers, Gerard Dou, Mieris, Bronver, Wouwermann, Ostade itd., miniatury różnych epok i krajów, rzeźby Canovy, malowidła Poussin'a Bouchera, a zwłaszcza wielkiego Fragonarda.

Wkońcu porównuje dr. Piotrowski swoistość zamku łańcuckiego ze świetnością paryskiego Luwru, b. zamku królewskiego w Wersalu i królewskimi zabytkami angielskimi.

Summa ! przepojona trudem pracy książka dr. Piotrowskiego, posiada przede wszystkim i głównie wartościowe cechy interesującego katalogu tego prywatnego, dużego zbioru muzealnego, który oby wreszcie stał się mniej niedostępny dla miłośników sztuki i jej badaczy. Należy wreszcie podkreślić liczny zbiór ilustracji (107) celniejszych dzieł sztuki i architektonicznych fragmentów omawianego zabytku, z których klisze wykonane przez autora pracy, doskonałego fotografa, nie doczekały się niestety odpowiedniej książkowej realizacji.

Dr. M. T. M.

Podanie, poezja i rzeczywistość

Swego czasu przy nauce niemieckiego w szkołach byłego austriackiego zaboru uczyliśmy się na pamięć Uhlanda *Das Glück von Edenhall* (Szczęście zamku Eden). Treść jest następująca:

Młody pan zamku, rozochociwszy się przy uczcie, woła: „Przynieść tu Szczęście Edenhall!” Stary podczaszy niechętnie spełnia rozkaz i podaje lordowi kryształowy puhar. Kazawszy go napelnąć czerwonym winem portugalskim, lekkomyślny lord podnosi go w górę. Opowiada gościom, że jeden z jego przodków otrzymał puhar przy źródle od wieszczki, która napisała na kryształ: „Jeżeli ta szklanka stłucze się, koniec ze szczęściem Edenhall”. Lord widocznie nie wierzy w podanie, zresztą chce wyzwać przeznaczenie do walki. Tłucze kielich — i w tej chwili pęka sklepienie, naokoło bucha ogień. Do zamku wdarł się nieprzyjaciel. Młody lord ginie, a stary podczaszy błądzi na drugi dzień wśród gruzów, rozmyślając nad znikomością rzeczy ziemskich. Cały świat kiedyś roztrzaska się tak, jak szczęście Edenhall...

Balladę można nazwać arcydziełem Uhlanda. Jej forma jest nadzwyczaj trudna — każda zwrotka kończy się wyrazami „Das Glück von Edenhall”, rymującami się z jej dwoma wierszami. Warto również zwrócić uwagę na wspaniałą alliterację jednego z wierszy strofy ostatniej:

Die Steinwand, spricht er, springt,
zu Stück.

Wiersz tłumaczono na szereg języków, w świecie anglosaskim znany jest powszechnie wolny przekład amerykańskiego romantyka Longfellowa, który dodał notę, że sławny puhar podobno

Alfred Wielki, Sir Karol Oman i telefon

Postać Alfreda Wielkiego, bohaterskiego króla Wessexu, który na czas dłuższy powstrzymał zwycięski zalew duńskich najęźdźników, opołył liczne podania. Najślawniejsze z nich może przedstawia Alfreda, pobitego i ukrywającego się po chatach wieśniaczych, jak obiecawszy prostej kobiecie, że będzie pilnował pięknych się placków, zamyślił się nad losami kraju i sposobami zebrania nowych sił przeciw Duńczykom i zapomniał o Bożym świecie. Wskutek tego placki spaliły się na węgiel, a rozgniewana gospodyni rzuciła jeden z nich na głowę rozradowanemu gościowi. Alfred przyjął ten nowy dopust Boży z chrześcijańską pokorą i mścił się tylko na Duńczykach, ale nie na starej jęzdy. Jeżeli epizod ten zaszedł, co dość wątpliwe, musiało to być kiedyś w początkach jego panowania, w ósmym dziesiątku dziewiątego wieku naszej ery.

niecalkiem jest zbity. Gdy w jakiś czas później bawił w Anglii, baronet z Eden Hall napisał do niego, zapraszając, aby przyjechał i na własne oczy zobaczył legendarny kielich. Poeta skorzystał z propozycji. Pokazano mu „szczęście Eden Hall” w zupełnie dobrym stanie. Longfellow spróbował kryształu potężnym prztyczkiem i rzekł swym amerykańskim akcentem: „Tak, widzę, że dźwięk jest zupełnie czysty”.

Eden Hall leży w pobliżu Penrith w hrabstwie Cumberland, a więc nad granicą szkocką. Zamek przez całe wieki należy do rodziny Musgrave'ów. Pierwotną ich siedzibą był zamek Hartley, lecz mieszkali zawsze w tych stronach, w Cumberland lub w Westmoreland. Brali żywy udział w bojach na pograniczu i stąd Scott wprowadził jednego z Musgrave'ów w poemacie „Dziewica z jeziora”.

Gdy Jakób I. (z początkiem XVII w.) stworzył tytuł baroneta, nadał go natychmiast jednemu z Musgrave'ów. Zasiłki na to niewątpliwie — nazwisko ich figuruje już za pierwszych królów normandzkich w wykazach rycerstwa feudalnego.

Szczęście Eden Hall jest to piękny puhar, wysokości około 6 cali, średnicy ok. 2 cali u podstawy, a ok. 4 cali u góry. Na bursztynowym tle ma piękne arabskie ze złota i emalii w kolorach czerwonym, niebieskim, zielonym i białym. Przechowują kielich w futerale z czasów Henryka VI. (w. XV), również bardzo ozdobnym.

Autentyczna forma podania niezupełnie zgadza się z balladą. Niegdyś, w zamierzchłych czasach, piwniczny z zamku Eden miał wybrać się do studni św. Cuthberta, położonej na prawo od gma-

chu i zakrytej murem. Natrafił tam na elfy, które tańczyły dookoła swej królowej, szczególnie pięknej i majestatycznej. Na widok śmiertelnika rozpięchły się trwożnie, a piwniczny skorzystał z popłochu i chwycił pozostawiony przez nie kielich, który mu się bardzo spodobał. Elfy zażądały zwrotu, lecz on uparł się i zatrzymał zdobycz. Wówczas królowa, odchodząc, wypowiedziała rymowany dwuwiersz tej treści, że jeżeli kielich stłucze się lub upadnie, szczęście Eden Hall przeminie („Zegnaj o szczęście Edenhall”) — tu zachodzi prawie dosłowna zgodność z balladą). Zbicie puharu i tragiczne następstwa należą do poetyckiej wyobraźni. Panowie zamku umieli pilnować czarodziejskiego naczynia, a jeżeli pokazywali je gościom, to z odpowiedniami ostrożnościami.

Z początkiem XVIII w. bywał w zamku osławiony książę Wharton, przez jakiś czas namiestnik Irlandji, znany z rozpustnego życia. Pewnego razu zainicjował on przy uczcie zawody pijackie. Gdy już wszystkim dobrze kurzyło się z czupryn, książę poprosił o szczęście Eden Hall, mówiąc, że pragnie wypić z niego na pomyślność baroneta i jego rodu. Spełniono życzenie, lecz magnatowi zatrzęsała się ręka — i kielich byłby upadł na ziemię, gdyby nie czujny piwniczny, który go w porę pochwycił. Ks. Wharton upamiętnił wypadek żartobliwą balladą „Na godne pamięci zawody pijackie, odbyte u Sir Krzysztofa Musgrave'a”. Zaraz w pierwszych wierszach prosi Boga, aby szczęście Eden Hall po wiek wieków chronił od stłuczenia. Od tego czasu kielicha nie dawano już gościom do ręki.

Jego nadnaturalne pochodzenie stanowi piękną legendę. Nauka rozwiewa ją naturalnie, stwierdzając, że szczęście Eden Hall jest typowym wyrobem wschodnim z XIII w., a więc najwidoczniej przywędrowało w tym czasie z wracającymi z Ziemi św. Krzyżowcami.

Rzeczywistość nie liczy się z podaniami. W najbliższym czasie ma stać się coś, co zaprzeczy tajemnemu związkowi między kielichem a istnieniem zamku Eden. Jak wiadomo, utrzymanie w dobrym stanie wielkich starożytnych budowli przerasta dziś siły angielskich właścicieli ziemskich, których niszcza podatki, szczególnie spadkowy, oparty na zasadzie progresji i pochłaniający czasem blisko połowę własności. Panowie zamku usiłowali nań znaleźć kupca. Nie udało się. Wobec tego Eden Hall ma w najbliższym czasie ulec rozbiórce.

A może stary kielich temu w ostatniej chwili jakimś cudem zdoła zapobiec?

Władysław Tarnawski.

*) Dr. Józef Piotrowski: Zamek w Łańcucie. Zwięzły opis dzieł i zbiorów, 107 ilustracji, Lwów 1933.

Pięćdziesiąta fala...

Jeszcze jeden jubileusz... Ale bez frańków, uroczystych przemówień, adresów, akademii. Jubileusz, jedyny w swoim rodzaju, interesujący nie szczupłą garstką znajomych, przyjaciół i wielbicieli „dostojnego jubilata” — lecz setki tysięcy, miliony!

A „dostojny jubilat”, to nie słowoloty, starszy, poważny jegomość, odbierający z odpowiednią powagą i namaszczaniem ~~zobaczenia~~... Nie, — to abstrakcja, nieuchwytna, niewidzialna, a jakże nam wszystkim bliska i miła!

Pięćdziesiąta audycja „Wesołej lwowskiej fali”!

„Radio, ten „teatr wyobraźni”, pracuje w warunkach bez porównania trudniejszych, niż teatr czy kino. Tam działanie bezpośrednie na słuchacza i widza, połączenie elementów wizualnych i akustycznych w jedną harmonijną całość. Radio natomiast działać może na wyobraźnię słuchacza jedynie pośrednio: odpada ruch, światło, mimika, dekoracje, — pozostaje tylko słowo, słowo przenoszone na falach eteru.

A samo techniczne przygotowanie produkcji? Trzeba całych miesięcy wytężonej pracy zespołu, reżyserów, inscenizatorów, techników, — zanim jakiś film wytwórnia wypuści na ekran. Trzeba szeregu prób, długich, cierpliwych, — nim jakaś sztuka teatralna ujrzy światło kinkietów. I taka sztuka czy taki film, starannie przygotowane „idą” całymi tygodniami, dzień po dniu, znajdując zawsze chętnych słuchaczy i widzów.

Z radjem rzecz się ma inaczej. Radio, to teatr ciągłych premier, to teren niestannej, rzecz można, improwizacji. Nie co tydzie, nie codzień, — ale co godzinę, co kwadrans, trzeba dawać coś nowego, ciągle coś nowego. Trzeba ogarnąć wszystkie dziedziny życia kulturalnego, uwzględniać wszystkie możliwe zainteresowania.

O ileż trudniej jeszcze przedstawia się ta sprawa, o ile idzie o „Wesołą falę”! Regularnie co tydzień świeża, obfita dawka humoru i wesołości. Skąd ją czerpać w dzisiejszych, — jakże niewesołych! — czasach? Gdzie znaleźć takich urodzonych, nałogowych wesołków, którzy potrafią, niemal z punktualnością zegarka, dostarczyć co tydzień nowy, oryginalny materiał do tych audycji? Kiedy wreszcie — wśród całodziennej gorączkowej pracy — znaleźć czas na przeprowadzenie choć kilku niezbędnych prób, zmontowanie całej — godzinnej! — audycji, przygotowanie potrzebnych efektów dźwiękowych, ilustracji muzycznej itp.?

Trzeba to wszystko sobie uprzytomnić, by móc w całej pełni ocenić ogrom wysiłku i pracy, jaką wykonują organizatorzy i wykonawcy „Wesołej fali”.

Więc jeżeli tu i ówdzie znajdzie się niekiedy jakiś numer słabszy, — pamiętajmy, że nawet i na słońcu znajdują się plamy, że i w teatrze czy w kinie nie wszystkie przedstawienia stoją na jednakowo wysokim poziomie.

Z okazji osobliwego „jubileuszu” należałoby — zgodnie z tradycją — zacytować szereg dat i cyfr. Co, kto, kiedy... jak przedstawia się geneza, histo-

ria... jakimi planami poszczycić się może jubilatka...

Ale historia „wesołej lwowskiej fali” zbyt dobrze jest znana jej słuchaczom, by trzeba ją powtarzać.

Zajrzyjmy raczej na chwilę za kulisy, do tej tajemniczej kuchni nowoczesnych alchemików, z której tryskają iskry, rakiety i bomby humoru na całą Polskę.

Uwija się tam niezmordowany, zaspapany, zaaferowany sam „wielki mag”, Wiktor Budzyński, ojciec duchowy i najczulszy opiekun tego swojego tworu. Sekundują mu dzielnie Włada Majewska, niezrównana parodystka Ordonki, Marleny itp., „Kucharka radiowa” Herta Warren, „dziecko radiowe” Stefa Zielińska, „egzotyczna cudzoziemka” Love Short, specjalistka od lekkich piosenek Ewa Stojowska...

Nieoceniony duet Szczepko i Tońko (Kazimierz Wajda i Henryk Vogelfänger) wiedzie żywą dysputę z kapitalnym „Aprikosenkranzem” (Monderer), i „Untenbaumem” (Fleischer). A prawdziwy fenomen radia lwowskiego, niezrównany imitator głosów wszystkich zwierząt, Józef Wieszczyk, czeka cierpliwie swej kolejki.

A któryż z radiosłuchaczy nie zna

Tadeusza Seredyńskiego, tego, co to stale „przy fortepianie”? Ile ten człowiek wkłada pracy w zmontowanie całej strony muzycznej „Wesołej fali”, — o tem mogą powiedzieć tylko ci, co w audycjach tych sami biorą udział.

Wreszcie parę słów o „dostawcach”. Zaczynając od Szczepka i Tońka, którzy sami się „aprowizują”, wymienić tu należy przede wszystkim Juliusza Toto, Adolfa Fleischera, Edw. Jaśkowskiego i Emanuela Schlechtera. To są te „filary”, koło których grupuje się cała plejada pisarzy lwowskich i warszawskich, zasilających stale repertuar perełkami humoru i dowcipu.

Że zaś całość funkcjonuje sprawnie, a audycje stoją na coraz wyższym poziomie, — niemała w tem zasługa dyrektora lwowskiego Oddziału P. Radja, p. Petry’ego, który nie szczędzi pracy, starań i zabiegów dla tego pupilka nie tylko Lwowa ale i całej Polski.

Dla ścisłości dodać należy, że stały zespół wykonawców audycji „Wesołej fali” liczy 18 osób, — do czego dochodzi dalsze 35 osób, występujących doręczo, w miarę potrzeby.

Pozatem biorą w tych audycjach udział rozmaite zespoły muzyczne - wokalne, jak Chór Esbena, orkiestra mau-

dolinistów pod dykcją A. Eplera, orkiestry wojskowe i inne.

Na jeden jeszcze moment zwrócić należy uwagę. „Wesoła fala” ma zasadniczo na celu dać słuchaczom lekką, miłą i wesołą rozrywkę. I tu jednak przeprowadza pewne zróżniczkowanie, nie bez ukrytej pewnej myśli.

Wyłącznie takiej rozrywce poświęcone są audycje obejmujące albo ogólny program rewjowy, albo lekkie komedje muzyczne, cieszące się dużym powodzeniem.

Inny natomiast typ przedstawiają nadawane co pewien czas okolicznościowe rewje, poświęcone w całości pewnym specjalnym tematom, zagadnieniom czy aktualnym problemom. Pod ten typ podpadają audycje, poświęcone kwestii kolonii polskich, żołnierzom K. O. P., Sienkiewiczowi itp. Audycje te, utrzymane w tonie pogodnym i lekkim, świadczą o dobrze przemyślanem, rozsądnem i planowem kierownictwie „Wesołej fali”, która w ten sposób służy z pożytkiem i wyższym, ogólniejszym celem.

Niechajże tedy lwowska jubilatka, tak dziś ulubiona i popularna w całej Polsce, a nawet daleko poza jej granicami, spoglądając z zadowoleniem na dotychczasowe wyniki, — widzi w tem asumpt do dalszej, równie owocnej pracy, w myśl starego hasła „utile dulci”!

(Lucy)

Historje kalendarzowe

Od pewnego czasu kwestja „reformy” kalendarza staje się znów przedmiotem dyskusji. Wysłęły ją przede wszystkim Sowiety, w konsekwencji systematycznie prowadzonej kampanji antyreliгиозnej.

Z drugiej zaś strony pojawił się w Stanach Zjednoczonych A. P. projekt wprowadzenia nowej rachuby czasu, biorący za podstawę rok złożony z trzynastu miesięcy, po 28 dni każdy. Jakkolwiek niektóre wielkie przedsiębiorstwa przemysłowe w Ameryce wprowadziły już nawet ten nowy system w swych księgach, wyplatach tygodniowych, zamknięciach rachunków, to jednak wydaje się rzeczą wykluczoną, by system ten znalazł szersze zastosowanie lub zdołał wyprzeć obowiązującą dotychczas rachubę czasu, o partą na kalendarzu gregorjańskim. — Nie trzeba chyba zresztą nadmieniać, że sfery kościelne są zdecydowanie przeciwnie wszelkim próbom zmiany istniejącego i uświęconego od wieków porządku rzeczy.

Kiedy i w jaki sposób powstał kalendarz, obowiązujący w całym chrześcijańskim świecie?

Jak wiadomo, pierwszym twórcą kalendarza w Europie był Juliusz Cezar. Kościół chrześcijański przejął tę rachubę czasu, rozpoczynając ją od daty narodzenia Chrystusa.

Ale już w roku 325, na soborze w Nikei, zauważono w kalendarzu tym pewne niezgodności: wiosenne zrównanie dnia z nocą przypadało nie na 21, lecz na 24 marca. Trzeba było dłuższego czasu, zanim odkryto źródło tego błędu, którego jednak nie sprostowano.

Upłynęło zgórą tysiąc lat, — aż dopiero z końcem XV wieku papież Sykstus IV postanowił sprostować te niedokładności. Pracę nad uzgodnieniem kalendarza z faktycznym kalendarzem astronomicznym podjął uczony

astronom Regiomontanus, który jednak zmarł nagle, niedokończywszy swej pracy. I znowu sprawa cała poszła w zaponienie.

Podjął ją nanowo papież Grzegorz XIII, powołując specjalną komisję uczonych astronomów. Komisja ta pracowała przez długi czas, zasięgając niejednokrotnie opinii rozmaitych uniwersytetów. Nierozstrzygnięta została kwestja, czy rok 2000 uważać należy za rok przestępny, czy nie. — w rezultacie jednak komisja przyjęła plan, opracowany przez włoskiego uczonego, Luigi Lilio, a utrzymywany w najściślejszej tajemnicy. Szło bowiem o to, aby przed ostatecznym ogłoszeniem reformy kalendarza uzyskać aprobatę wszystkich europejskich dworów.

Aż wreszcie dnia 24 lutego 1582 r. papież Grzegorz XIII ogłosił bulle, nakazującą przeprowadzenie zmiany rachuby czasu w ten sposób, iż po dniu 4 października nastąpić ma w kalendarzu bezpośrednio dzień 15 października tegoż roku. Tak zatem, — przez wyrzucenie dziesięciu dni, — nastąpiło ostateczne uzgodnienie roku kalendarzowego z rokiem astronomicznym.

Bulla papieska odniosła narazie skutek tylko częściowy: kalendarz nowy

„gregorjański”, przyjęły odrazu Włochy, Hiszpanja i Portugalia, a z końcem roku 1582 poszły za ich śladem Francja, Lotaryngja i katolickie prowincje Niderlandów. W rok później przyjmuje nowy kalendarz katolicka Szwajcaria, a w kilka lat potem Polska i Węgry.

Trudniej przedstawiała się ta sprawa w Niemczech: państwa katolickie podporządkowały się odrazu nakazowi Stolicy św., — natomiast Niemcy protestanckie dopiero w sto lat później powzięły uchwałę co do przeprowadzenia tej „poprawki” kalendarzowej. — Skutkiem tego w roku 1700 protestanckie Niemcy po dniu 18 lutego przeskoczyły w rachubie czasu odrazu na dzień 1 marca.

Za przykładem Niemiec poszła Danja oraz protestanci w Holandji i w Szwajcarii.

Najpóźniej przyjęły kalendarz gregorjański Anglja (r. 1752) i Szwecja (1753).

Natomiast wschód Europy, w szczególności narody prawosławne i wyznawcy religji grecko-katolickiej pozostały dotychczas wierne kalendarzowi „juljańskiemu”.

(R.)

Proroctwa statystyczne

Dwaj francuscy uczeni, prof. Richet i prof. Numilę, wystąpili w ostatnich czasach z niewesołą prognozą dla Europy i dla świata wogóle, opierając się na danych demograficznych.

Prof. Richet interesuje się przede wszystkim porównawczym przyrostem ludności w poszczególnych częściach świata. W ciągu najbliższych lat dziesięciu przybędzie wedle niego 20 milionów Europejczyków i dwa razy tyle mieszkańców Ameryki, natomiast 120 milionów azjatów, którzy naturalnie dzięki temu

liczebnemu rozmnożeniu staną się groźni dla Europy.

Prof. Numile oblicza natomiast, że ludność świata pomnaża się w ciągu stulecia o pół miljarda głów. Tymczasem rapas wody, niezbędnej do użytkowania ziemi uprawnej, a więc do wyżywienia ludzkości staje się coraz bardziej niewystarczającą. Nie zdajemy sobie dziś z tego sprawy i pozwalamy rzekom rozlewać się i tworzyć bagna lub wysychać i nie myślimy o tem, że już nasze wnuki staną oko w oko z ciężkim problemem braku wody.

Parazytyzm w przyrodzie

Objawy parazytyzmu (pasorzytництва) zachodzące w przyrodzie przedstawiają tak wielką różnorodność form i zjawisk, że możnaby dziś stworzyć osobny rozdział biologii traktujący o pasorzytństwie. To też w niniejszym artykule podam tylko kilka przykładów parazytyzmu, oraz przedstawię ogólnikowo, w jaki sposób parazytyzm powstał i jakie w odniesieniu do tematu wytworzyły się teorie.

Pasorzytem nazywamy takie zwierzę, które żyje kosztem innych istot, żywiąc się ich ciałem, krwią i t.d. Są to więc organizmy, które wyzyskują swego żywiciela wzamian nic mu nie dając. Tak ogólnie możnaby określić parazytyzm.

Jednak w rzeczywistości parazytyzm jest bogaty w różność form, bo począwszy od najskrajniej określonego pasorzytństwa, w którym pasorzyt wykorzystuje swego żywiciela do tego stopnia, że w końcu przyprawia go o śmierć, przechodząc do wypadku, w którym pasorzyt szkodzi tylko swemu żywicielowi, wywołując w nim różne zaburzenia natury fizjologicznej, takie jednak, które nie są śmiertelne. Dalej idąc stopniowo znajdziemy przykłady w których pasorzyt swą obecnością w innym organizmie nie wyrządza żadnych szkód; wreszcie w innych wypadkach pasorzyt wyzyskując inną istotę, odpłaca się jej jakąś przysługą w mniejszym stopniu, bądź to równorzędną; W obu ostatnich przykładach przechodzi parazytyzm w mutualizm (symbiozę) — (patrz artykuł w dodatku literacko-naukowym, nr. 15 p. t. Symbioza w przyrodzie).

To stopniowanie w różności i sile parazytyzmu, wynika prawdopodobnie z tego faktu, że pasorzytństwo, jak wiele innych zjawisk w przyrodzie przechodziło ewolucję. Oczywiście ewolucja ta nie była ciągła, były pewne mutacje, tj; odskoki, w których pewne organizmy wykształciły się czy to na wybitnie pasorzytnicze czy znowu na żyjące w symbiozie, niemniej jednak tak musiało być, a nie inaczej, o czym zresztą częściowo świadczy, choćby fakt poznania parazytyzmu już w starożytności, podczas gdy symbioza poznana została w nowszych czasach. Ciekawe są pewne teorie, powstałe w związku z pasorzytnictwem, które dziś zostały zupełnie obalone, a które dają świadectwo światu starożytnemu, świadectwo zresztą nie bardzo pochlebne.

W starożytności dużo zaprzętało sobie głowy kwestją powstania życia na ziemi. Kwestję tę rozwiązano też na drodze najmniejszego oporu, przyjmując między całym szeregiem fantastycznych hipotez teorię pasorzytństwa. Teoria ta powstała dzięki pasorzytom, dawała bowiem takie, zdawałoby się mogło, niezbitne dowody, na które nie było odpowiedzi, jak np. powstawanie robaków na zepsutem mięsie, mnożenie się wsi w brudzie i t. p.

Oczywiście w dzisiejszych czasach zjawiska powstawania robaków na zepsutem mięsie i t. p. zostały dokładnie zbadane, i dziś wiemy doskonale, że zwierzęta te powstają z jajeczek. Obok teorii samorodztwa, powstała w XVIII w. teoria tak zwanego dziedziczenia pasorzytów, która przyjmowała, że pasorzyt rozwijając się w organizmie, produkuje setki tysięcy jajeczek, które przedostają się do krwi i są przez krew roznoszone po całym

ciele, a więc i do płodu, rozwijającego się w danym organizmie.

Inni posunęli tę teorię jeszcze dalej, powiadając, że jajeczka pasorzytów roznoszone są przy pomocy plenników. Naiwny ten pogląd wskazywałby na to, że dziecko chore na robaki odziedziczyło je od rodziców. Teoria ta nie utrzymała się zbyt długo, ponieważ została wyparta przez inną, również pozbawioną logiki, orzekającą, że pasorzyty lęgną się z chorych części organizmu, które to części zmienione patologicznie przemieniają się w pasorzyty.

Te trzy do gruntu błędne teorie świadczą dobitnie o tem, w jakich ciemnościach pogrążona była nauka przyrody w wiekach średnich. Dopiero badania Leuckarta, Siebolda i in. położyły ostatecznie kres tym błędnym teoriom i wykazały, że pasorzyty dostają się do ciała swoich żywicieli z zewnątrz już to w formie gotowych organizmów, bądź to jajeczek; Czyli, że następuje prosto infekcja pasorzytami w różny sposób np. przez wypitą wodę, spożyty pokarm zawierający pasorzyty lub ich jajka, czy wreszcie w inny sposób.

Dla nas ciekawem jest pytanie jak powstał parazytyzm? Z punktu widzenia biologicznego powstanie parazytyzmu można przedstawić następująco: Zwierzęta stojące na niskim poziomie rozwoju, żywiące się zwierzętami słabszemi od nich, mogą się znaleźć w takich warunkach, w których zabraknie tych zwierząt, któremi się one żywią. Powstają wtedy dwie możliwości albo zwierzęta te zginą z braku pokarmu albo przystosują się do nowych warunków życiowych. Oczywiście z biegiem czasu zwierzęta te ulegną widocznej zmianie w swojej organizacji, zmianie częściowej, a nawet i całkowitej.

I tu mamy wytlómaczenie parazy-

tyzmu. Te nisko zorganizowane zwierzęta, którym zabrakło pokarmu dostarczonego przez inne ustroje, musiały celem zachowania swego życia, żywić się mięsem zwierząt większych, stojących na wyższym stopniu rozwoju.

Ponieważ nie mogą ich uśmiercać, żywią się tylko częstkami ich ciała, krwią, a po zaspokojeniu głodu opuszczają je. W ten sposób powstał parazytyzm tzw. czasowy. Jest to więc przejście z życia rozbójniczego do pasorzytństwa połowicznego, wyjaśnionego przez zasadę przystosowania się do zmienionych warunków bytu.

Stąd już niedaleka droga do pasorzytństwa stałego. Dzięki zasadzie doboru naturalnego, który dąży do utrwalenia cech dla organizmu najlepszych i najkorzystniejszych, wytworzył się parazytyzm stały. Organizm pasorzytniczy, przechodzący z pasorzytństwa czasowego na stałe, usadawiał się na ciele zwierzęcia, z którego czerpał pokarm. Tu jednak nie było zbyt bezpiecznie i właśnie dzięki zasadzie doboru naturalnego pasorzyt zewnętrzny obrał sobie kryjówkę bardziej pewną jak jama ustna, nosowa, jama skrzelowa, przewód pokarmowy itp.

Tak więc powstał prawdziwy parazytyzm.

Dociekania te przedstawione zresztą bardzo ogólnikowo, znajdują potwierdzenie przez porównywanie różnych organizmów dziś żyjących, wykazujących wyżej wymienione stany.

W systematyce nachodzimy cały szereg zwierząt, które znajdują się w różnych stadiach parazytyzmu, np. pijawki (parazytyzm czasowy), pajęczak z grupy roztoczy (parazytyzm stały zewnętrzny) itd. aż do zupełnie wydoskonalonych form pasorzytniczych (tasiemiec);

Wspomnieć wreszcie trzeba o zmianach jakie zachodzą w organizmach, doskonale już przystosowanych do życia pasorzytniczego. Zmiany te są regresywne, powodujące uproszczenie organizmu pasorzyty. I tak pasorzyt przebywający np. w jelitach jakiegoś zwierzęcia, nie potrzebuje narządów ruchu, następuje więc zanik kończyn, układ nerwowy zostaje uproszczony, następuje zanik narządów zmysłowych jak wzroku, słuchu, przewód pokarmowy ulega przeobrażeniu, a nawet zupełnie zanika, ponieważ pasorzyt pobiera pokarm całą powierzchnią ciała.

Prócz tych procesów wstecznych, powstałych w związku z życiem pasorzyty, powstają pewne specjalne narządy, jak przyssawki, haczyki, służące do przytwierdzenia się pasorzyty do ciała żywiciela, oraz rozwija się nadzwyczajnie zdolność płodzenia. Niektóre pasorzyty produkują miliony jaj w ciągu swego żywota, — są takie, które potraciły wszystkie narządy z wyjątkiem narządów płciowych. Są wreszcie takie, np. u pewnych robaków, gdzie w ciele samicy w narządach płciowych żyją samce.

Nadzwyczajna ta płodność pasorzytów wytłómaczona jest obfitością pokarmu oraz prawem zachowania gatunku. Do najbardziej znanych pasorzytów należą zwierzęta z typu robaków (vermes), jak np. z gromady obłęńców (Nemathelminthes), Trychina spiralis, Ascaris lumbricoides, Ascalis megaloccephala dalej z płazińców (Plathelminthes) Taenia solium, tasiemiec bezbronny, tasiemiec kręcka.

Wiele pasorzytów znajdujemy w typie członkonogich (Arthropoda) z gromady pajęczaków np. roztocze (sarcoptes scabiei) itd.

Pozostałoby jeszcze przedstawić biologię i morfologię zwierzęcia pasorzytniczego, jednak z powodu szczupłych ram artykułu o życiu pasorzytów innym razem.

TADEUSZ KWAŚNIEWSKI

Ciekawostki ze świata

Czy Ojciec Święty próżnuje?

Znużony pracami Roku Świętego Pius XI. spędzi dla odpoczynku pewien czas w willi Castalgandolfo wśród gór Albańskich. Czasopismo *Vita e Pensiero* oblicza, iż blisko 79-letni Ojciec św. przyjął w ciągu Roku Świętego z gór półtora miliona pielgrzymów, wygłosił do nich 620 przemówień, nadto 14 kazań i 9 mów na konsystorzach. W najbardziej ożywionym okresie wypadało po 8 przemówień do pielgrzymek na dzień, poza tem zaś co najmniej po 10 specjalnych audjencji dla biskupów, nuncjuszów i dyplomatów. Nie dziwnego, że Głowa Kościoła zaprzętała wypoczynku. Ale do Castalgandolfo udała się z dworem i będzie tam załatwiać sprawy bieżące.

Ślawną kolekcją pierścieni

P. Teresa Mayer, obywatelka austriacka, obecnie nieżyjąca, zbierała przez całe życie pierścienie różnych okresów historycznych. Kolekcja liczy ok. 750 sztuk, reprezentujących średniowiecze, odrodzenie, wiek 18-ty i 19-ty. Spadkobiercy postanowili ją spienić i zwrócili się w tym celu do jubilerskiej firmy Teodora Fischera w Lucernie. Tym sposobem największy prywatny zbiór pierścieni na świecie będzie z początkiem maja wystawiany na sprzedaż w Zurychu.

Katedra skazana na zagładę

Wspaniała stara katedra, zbudowana z początkiem w. 18-tego w Villahermosa, stolicy meksykańskiego stanu Tabasco, ma być rozebrana, aby zrobić miejsce obozowi parkowi, poświęconemu wszelkim sportom. Rzecz jest w związku ze zwalczaniem Kościoła w Meksyku, gdyż ustawa, uchwalona przez stan Tabasco, ograniczyła ilość kościołów do minimum i tym sposobem część ich musi być zburzona.

Wzrost Belgradu

Stolica Jugosławii była do niedawna stosunkowo niewielkim miastem. Obecnie połączono ją mostem na Sawie z Zemunem i miastem na Dunaju z Pańczerwem, wcielając do niej te miejscowości. Od 1 kwietnia należy nadto do Belgradu 13 wsi okolicznych. Tym sposobem obszar miasta wzrósł pięciokrotnie. Tworzy on olbrzymie koło, którego średnica wynosi niewiele mniej od 50 km. Podobna żadna ze stolic europejskich nie zajmuje takiej powierzchni. Ludność dochodzi jednak tylko do 300 tysięcy, a więc pod tym względem Lwów i Kraków mają wyższość.

Świat podziemny Marsylii

Sprawa zamordowania sędziego Prince'a rzuciła pewne światło na bandytów marsylijskich, z których trzech uwięziono, jako podejrzanych o tę zbrodnię. Ważne miasto portowe południowej Francji roi się od wyrzutków społeczeństwa, zdolnych do wszystkiego. Zastanawiają ich stosunki. Gdy aresztowano ową trójkę, posypały się, jak z rogu obfitości, oświadczenia, stwierdzające ich alibi lub nieposzlakowany charakter, a sam mer Marsylii kazał rozlepić plakat, w którym ujmuje się za jednym z opryszków, oświadczając, że dopóty będzie uważał go za swego przyjaciela, dopóki wina nie zostanie ponad wszelką wątpliwość udowodniona.

Ostatni z „tysiąca” Garibaldi

Zapewne ostatnim, a w każdym razie jednym z ostatnich garibaldiżków jest hr. Caserta liczący obecnie lat 93 i ciężko chory. Od bohaterskich czynów słynnego tysiąca upłynęło lat 73. Hr. Caserta był przyrodnim bratem ostatniego króla Obojga Sycylii i mimo to wziął czynny

udział w ruchu, który zbudował nową Italię na gruzach drobnych tyranów i ujarzmionych przez obcych prowincji. Między tyranami najbardziej pogardzonym był właśnie władca Neapolu i Sycylii. Państwu to służyło z ucisku i policyjnych metod. O poprzednim królu powiedział Gladstone w roku 1851 że jego rządy są „negacją Boga, spotęgowaną systemem”. W owym czasie liczba więźniów politycznych w królestwie Obojga Sycylii wynosiła około 40 tysięcy...

Indyjski uniwersytet

32 lat minęło od założenia hinduskiego uniwersytetu w Gurubula. Leży on u stóp gór Karia, poza którą otwiera się widok na niebotyczne, wiecznym śniegiem pokryte szczyty Himalajów.

Nazwa uniwersytetu jest w tym wypadku rodzajem *pars pro toto* gdyż pobyt w zakładzie wychowawczym w Gurubula trwa lat 14. Chłopcy wstępują tam między 6-ym a 8-ym rokiem życia i pozostają bez przerwy aż do ukończenia studjów. Stają się na ten czas członkami rodziny nauczyciela, który uczynicie przyjmuje za nich odpowiedzialność.

Tryb życia jest spartański. Wszyscy uczniowie z wyjątkiem najmłodszych wstają o 4-ej rano i przez 1 1/2 godziny uprawiają gimnastykę, poczem kąpią się w czystych, lodowatych wodach Gangesu. Następuje dłuższe nabożeństwo, olegając na powtarzaniu wierszy sanskryckich, a dalej na rodzaju ofiary, przy której rozgrzewają się nieco, gdyż sledzą naokół brązowego naczynia, napełnionego płonącym, topionym masłem i drobnymi kawałkami wosnego drzewa, rzucając w płomień cukier, ziola i korzenie.

Dopiero po tem wszystkim jedzą studenci skromny posiłek. Do obfitego śniadania po dwóch godzinach nauki, a wtedy zaczynają się właściwe wykłady, trwające aż do nocy.

J. S.